

DZIEWCZYNY
i
ChłOPAKI* 2

* WŁAŚCIWE PODKRESLIĆ

SŁAWOMIR HANAK

DZIEWCZYNY Chłopaki*

* WŁAŚCIWE PODKRESLIĆ



WYDAWNICTWO SKRZAT
KRAKÓW

© Copyright by Stawomir Hanak,
Edycja © Copyright by Księgarnia Wydawnictwo Skrzat
Stanisław Porębski, Kraków 2014

Redakcja: Sylwia Chojecka

Korekta: Magdalena Gorzalczana

Ilustracje: © misterelements – Fotolia.com; © Matthew Cole – Fotolia.com

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Łukasz Libiszewski

Skład: Łukasz Libiszewski

ISBN 978-83-7915-034-2

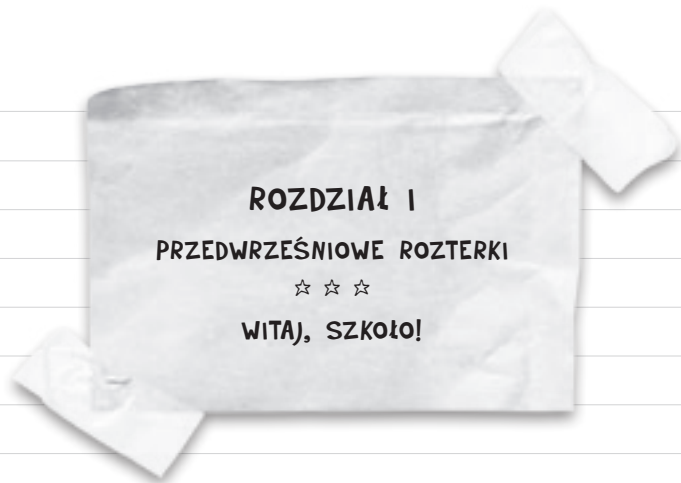
Księgarnia Wydawnictwo Skrzat Stanisław Porębski

31-202 Kraków, ul. Prądnicka 77

tel. (12) 414 28 51

wydawnictwo@skrzat.com.pl

Odwiedź naszą księgarnię internetową: www.skrzat.com.pl



ROZDZIAŁ I

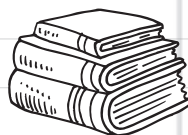
PRZEDWRZEŚNIOWE ROZTERKI

☆☆☆

WITAJ, SZKOŁO!

Jutro pierwszy września.

Boję się. Wiem, że strach to bardzo niemęskie uczucie, ale nic na to nie poradzę, boję się i już!



Niech nikt nie wyciąga pochopnych wniosków. Nie chodzi o szkołę, nauczycieli i oceny, bo, jak dotąd, nie miałem problemów z nauką, tak więc nie w tym rzecz.

Wiem, że będziecie się śmiać, ale co mi tam, przyznam się, że chodzi o... dziewczyny. To znaczy, ich też się nie boję, ale... to wszystko jest takie skomplikowane, że chyba będę musiał co nieco wyjaśnić.



Zacznę od siebie, choć niektórzy może mnie już znają. Nazywam



się Smalec... właściwie to Grześ, ale Smalec to moja ksywka i jestem z nią bardzo zżyty. Jestem, a dokładnie od jutra będę, czwartoklasistą. Moi najlepsi kumple to Dzióbek i Łysy. Razem tworzymy zgraną paczkę, a co do dziewczyn... hm, tu właśnie zaczynają się schody.



Już jutro szkoła.

Cieszę się na spotkanie z koleżankami, ale tak ogólnie mam mieszane uczucia. Kiedy skończyłam pierwszą klasę, to płakałam, że przez dwa miesiące nie zobaczę mojej kochanej szkoły.

Rozbawieni rodzice powiedzieli wtedy, że kiedyś jeszcze znormalnieję. Mieli rację, już nie płaczę za szkołą, ale przyznam, ciekawa jestem nowej wychowawczynie (tak, tak, to w końcu czwarta klasa) i tego, że będziemy mieli nauczycieli przedmiotowych, a nie tylko jedną panią od wszystkiego,



a na wystraszone maluszki z pierwszych klas, będziemy spoglądać z pobłażaniem.

Jest tylko jedna prawdziwa rysa na dość pogodnym obrazie jutrzejszego dnia... Smalec!



Nie mam na myśli smarowidła do chleba, pysznego, choć niezdrowego (cholesterol... cokolwiek to znaczy), ale jednego chłopaka z mojej klasy.

Oj, ale się rozgadałam, a chyba powinnam zacząć od przedstawienia się. Na imię mam Martyna, jestem życzliwie nastawiona do całego świata (no, prawie całego – chłopcy), ale najbardziej przyjaźnię się z Julką i Mariolą.



To chyba jasne, że się nie cierpimy. Cóż my, faceci, możemy mieć wspólnego z dziewczynami? Nie ma tutaj potrzeby się rozpisywać, jakie one są – słabe skarżypyty. Brrr... na samą myśl robi mi się zimno, chociaż termometr za oknem pokazuje 31 stopni, a w mieszkaniu jest niewiele mniej.



W ogóle nie byłoby sprawy, gdyby nie Martyna. Ej, co jest? Nie życzę sobie żadnych dwuznacznych uśmiezków! Chodzi o to, że przedziwnym, okrutnym zrzędzeniem losu spędziliśmy razem pierwszą połowę lipca i... było fajnie. Że co? Że nic nie widać? No dobra, przyznaję – BYŁO FAJNIE! I co, tak lepiej? No to teraz możecie się już ze mnie śmiać.

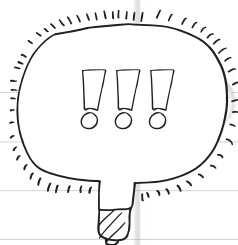


Tęgo lata udało mi się dokonać wiekopomnego odkrycia, że Śmalec, wyrwany ze swojego środowiska, umie być (nie myślałam, że to kiedykolwiek powiem)... normalny! A przynajmniej zbliżony do normalności.



Kiedy na początku wakacji jako letnik wdarł się wraz z rodzicami w mój dotąd sielankowy świat u dziadków, poczułam, jakby cały świat runął mi na głowę. Jak on śmiał? To były moje wytęsknione wakacje i moi dziadkowie!

Jego rodzice i moi dziadkowie nieźle się ubawili, kiedy się okazało, że chodzimy do tej samej klasy, i uznali, że to się świetnie składa, bo nie będą nas musieli zabawiać, skoro zajmiemy się sobą sami. Ratunku!!!



Ja osobiście w ramach „zabawy” najchętniej wydrapałabym Smalcowi oczy, ale na głos tego powiedzieć nie mogłam. Spojrzenie, jakim mnie przesywał, nie pozostawiało złudzeń, że on wymyśliłby dla mnie podobne „atrakcje”.

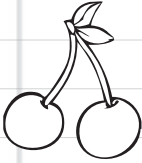


Cały długi rok szkolny cieszyłem się na myśl, że przez dwa miesiące nie będę musiał oglądać ani Martyny, ani jej psiapsiótek, a tu... ech, byłbym skłonny podejrzewać, że ona specjalnie wybrała sobie tych dziadków, żeby mi dokuczyć, ale to chyba bez sensu, no nie?

Nie mieliśmy innego wyjścia, skoro byliśmy na siebie skazani, musieliśmy się dotrzeć.



Zaraz na początku, zabierając go na „moją” czereśnię, pokazałam, kto tu rządzi. To drzewo było moim królestwem, znałam niemal każdą jego gałązkę, rozumiałe więc, że śmigalam po nim jak ryba w wodzie... to znaczy jak wiewiórka.



Potem nie było już tak fajnie. Przyszły moje tamtejsze koleżanki, Wiktoria i Ola, i... bardzo mnie rozczarowały. Smalec nonszalancko zaczął się przechwalać, jakby miał czym. Udawał supermena, a one mizdrzyły się do niego, jakby naprawdę nim był. Im bardziej one się w niego wpastrywały, tym bardziej on się nadymał. Już zaczęłam się zastanawiać, czy nie pęknie, chociaż... to nie byłoby takie złe.



Och, jakaż ona była zadowolona, kiedy mogła się popisać przede mną wspinaniem na drzewo. Co tam, niech ma. Mnie nie ubędzie.

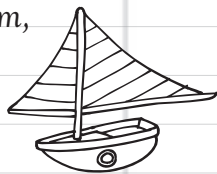
Kiedy przyszedły jej koleżanki, było całkiem fajnie. Okazało się, że można być dziewczyną i nie być okropną! Szczególnie ta Wiktoria spoglądała na mnie z pewnym szacunkiem, a nawet podziwem, kiedy mimochodem napomknąłem o niektórych swoich dokonaniach.



No, oczywiście Martyna nie byłaby sobą, gdyby złośliwie nie opowiedziała kilku moich nieco mniej fortunnych przygód. No co, każdemu się może zdarzyć, prawda? Wpadek nie mają tylko ci, którzy nic nie robią.

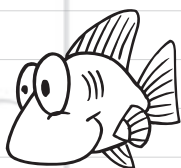


Drugiego dnia pobytu zaprowadziłam naszych letników do ośrodka nad jezioro. Na miejscu okazało się, że nawet taki Smalec może mieć świetnego ojca. Otóż tata postanowił zapisać syna na kurs windsurfingowy! Myślałam, że pęknę z zazdrości. Pan Piotr chyba domyślił się, co czuję.



– Ty, spędzając tu każde lato, pewnie świetnie surfujesz – odezwał się do mnie.

– Ja? Ee... jeszcze nie próbowałam – przyznałam się. – Kiedyś byłam za młoda, ale może w tym roku spróbuję. To musi być wspólna rzecz.



– Ale pływać na pewno umiesz – pan Piotr bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Jeszcze jak! – zawołał Śmalec i ugryzł się w język. – No... chodziliśmy ze szkoły co tydzień na basen, to wiem – wyjaśnił speszony.

Tak mnie zaskoczył, że zdobyłam się jedynie na skinięcie głową. Pan Piotr tylko klasnął w dłoń.

– Masz komórkę? – zapytał mnie. Przytaknęłam. – To dzwoń do rodziców i dowiedz się, czy się zgadzają, żebyś spróbowała.



Wyobrażacie sobie? W ciągu kilkunastu minut wszystko było załatwione! Tylko nazajutrz dziadek lub babcia musieli podpisać zgodę, jako moi opiekunowie. Teraz nie miało to znaczenia, bo pierwsze lekcje były teoretyczne.



I znów okazało się, że to całe równoupraw-
nienie to lipa!

Nic dziwnego, że Martyna była
szybsza ode mnie, bo przecież jest
lżejsza. Do tego miałem dużo gor-
szą deskę od niej, a jakby tego było
mało, wszyscy, nawet mój tata, wyraź-
nie faworyzowali Martynę, że niby najmłodsza
z całego kursu. Dacie wiarę? Ja jestem od niej
młodszy o jedenaście dni! Kiedy zwróciłem na
to uwagę, to mój tata powiedział, żebym się
nie czepiał, bo ona jest dziewczyną. Tak się
wszyscy z nią cackali, że nawet pomagali
jej zakładać kombinezon.



Pytam więc: jest równoupraw-
nienie czy nie?



A w ogóle to przecież wcale nie cho-
dzi o ściganie się, tylko o nabywanie
umiejętności i o samą przyjemność obco-
wania z naturą. Hm, nawet nieźle mi wyszło to
zdanie, muszę je zapamiętać.



Dawno nie widziałam Śmalca tak skruszonego, jak w ostatnim dniu kursu windsurfingowego. Dla wszystkich uczestników zorganizowano miniregaty i nieważne, że ich nie wygrałam, ważne, że zdecydowanie go wyprzedziłam.



Przed startem odgrażał się, że ma właśnie zamiar pokazać mi, jak się żegluje, a na mecie się tego bezczelnie wypierał. Narzekał na deskę, na żagiel, nawet na piankowy kombinezon, jak w przysłowiu o złej baletnicy. No ale czego innego można było się po nim spodziewać? To tylko chłopak.



Muszę przyznać, że poza tymi rażąco niesprawiedliwymi regatami reszta pobytu w Kłonicy (biorąc pod uwagę towarzystwo) była całkiem spoko.

Na przykład pewnego pochmurnego dnia rodzice postanowili wybrać się do niedaleko położonego pałacu księcia von...



Jakiegoś tam. Z catkowicie dla mnie niezrozumiałych względów uparli się, żeby zabrać też Martynę. Cóż mogłem na to poradzić? Jakoś to przeżyłem.



Pałac jak to pałac, nie był to Wersal ani nawet Wilanów, ale mógł się podobać. Największą atrakcją okazał się piękny ogród, a w nim... labirynt! Wprost wymarzone miejsce do zabawy w chowanego. Ech... cóż to była za



frajda! Tworzący ściany labiryntu żywoptot miejscami był nieco rzadszy, więc mogliśmy sobie robić skróty. Przez jakiś czas moi rodzice próbowali dotrzymać nam kroku, ale wkrótce wymiękli i na placu boju pozostaliśmy tylko my, młodzi.

Dawno się tak nie wyszalałem... i to z kim? Z dziewczyną! Nie myślcie sobie, że to wyznaczenie przyszło mi łatwo, ale jak nie mam innego wyjścia, to potrafię być obiektywny.

Dwa tygodnie szybko minęły i choć nie myślałem, że kiedykolwiek tak pomyślę, to jednak naprawdę żał mi było stamtąd odjeżdżać.